

Erdoğan bierze wszystko

24 maja 2016

Recep Tayyip Erdoğan poczynił właśnie kolejne kroki na rzecz konsolidacji swoich autorytarnych rządów. Co na to europejscy obrońcy demokracji? Właśnie zacieśniają z nim współpracę.

Zawsze, kiedy obrońcy tureckiego prezydenta zabierali się do uzasadniania, że w Turcji panuje demokracja, a doniesienia o mordowaniu Kurdów to „propaganda” i „dezinformacja”, prędzej czy później padał argument o tym, że przecież w Ankarze normalnie pracuje parlament, a jeśli komuś nie podoba się konserwatywny program Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), to przecież nie musi na nią głosować. Kilka dni temu argument ten stał się nieaktualny. Na wniosek rządzącej partii właśnie przegłosowano hurtowe pozbawienie immunitetów 138 deputowanych – w tym 51 przedstawicieli kemalistowskiej Republikańskiej Partii Ludowej, 50 polityków z Demokratycznej Partii Ludowej (HDP), 27 z samej AKP, dziewięciu nacjonalistów i jednego niezależnego. Już bez żadnych przeszkód będą mogły się toczyć postępowania karne przeciwko niezbyt zdyscyplinowanym deputowanym z obozu rządzącego, ale przede wszystkim przeciwko opozycji.

Ustawa uderzy przede wszystkim w umiarkowaną, prokurdyjską HDP. Zniesienie immunitetów ma dotyczyć ogromnej większości, bo 50 członków jej 59-osobowego klubu parlamentarnego. Partia ta dała prezydentowi aż za wiele powodów, by jej nie znosić. Religijnemu konserwatyzmowi i marzeniom o restytucji, choćby częściowej, Imperium Osmańskiego przeciwstawia hasła „reformowania kapitalizmu” czy też dążenia do demokratycznego socjalizmu, broni mniejszości etnicznych i religijnych, upomina się o prawa kobiet, żąda większego poszanowania dla środowiska. HDP dokonała rzeczy dla wyborców Erdoğan'a świętokradczej – zdecydowała, że zamiast jednego przywódcy każdorazowo wybierać będzie dwoje: kobietę i mężczyznę, parytet wprowadziła też na swoich listach

wyborczych. Najgorsze było jednak to, że HDP całkiem na serio deklarowała obronę praw Kurdów metodami demokratycznymi. Nawet jeśli koniec końców niewiele na tym polu osiągnęła, to jednak wysłała w stronę Europy wyraźny komunikat: Kurdowie nie są terrorystami. Chcieli się porozumieć – to druga strona zerwała dialog i posłużyła się zamiast tego brutalną przemocą.

Erdoğan nieraz odgrażał się, że doprowadzi jej liderów przed sąd chociażby za kilka wypowiedzi o tym, że powstanie niepodległego Kurdystanu prędzej czy później jest nieuniknione. Wszystko wskazuje na to, że w ten sposób potraktowany zostanie niemal cały klub HDP – 50 na 59 parlamentarzystów, a postawionym im zarzut będzie z tych najcięższych: chodzić będzie o wspieranie nielegalnej Partii Pracujących Kurdystanu, czyli wspieranie terrorystów. Sądy tureckie są dyspozycyjne. Mają już na koncie skazanie prawniczki krytykującej Erdoğan na podstawie nielegalnie pozyskanych dowodów objętych tajemnicą adwokacką i wyroki na dziennikarzy, którzy ujawniali proceder zakupu ropy od ISIL lub tylko pisali krytycznie o pomysłach prezydenta na politykę zagraniczną. Znajdą się sędziowie, którzy podobnie potraktują polityków HDP, na czele z najbardziej rozpoznawalnym – prawnikiem i obrońcą praw człowieka Selahattinem Demirtaşem.

Zastraszenie umiarkowanych partii opozycyjnych to jeden z ostatnich elementów w wielkim planie konsolidacji władzy Recepa Tayyipa Erdoğan. Punkty pierwszy i drugi – zdobycie większości parlamentarnej, a potem wygrana w wyborach prezydenckich – zostały zrealizowane dawno temu. Punkt trzeci – konsolidację Turków przeciwko wrogowi wewnętrznemu (Kurdowie) prezydent też już przeprowadził. Jeśli w ubiegłym roku zerwanie dialogu z największą w Turcji mniejszością zostało przez znaczną część obywateli przyjęte z obawami, to dziewięć miesięcy później większość z nich jest skłonna stwierdzić, że Erdoğan miał rację. Jeśli w czerwcu 2015 r. AKP zdobyła w wyborach parlamentarnych 258 mandatów, to już w wyborach przedterminowych w listopadzie 2015 r. miała ich 317.

Do tego seria zamachów terrorystycznych w Stambule i w Ankarze została natomiast bezbłędnie wykorzystana propagandowo przez proprezydenckie media, którym w znacznej mierze udało się przekonać Turków, że uzbrojony w dodatkowe prerogatywy Erdoğan walczy o ich własne bezpieczeństwo. Nieliczne głosy rozsądku wskazywały, że zamachy miały skrajnie różne źródła: te, których przeprowadzenie faktycznie udowodniono Kurdom, były odpowiedzią coraz bardziej zdesperowanych partyzantów na brutalne kampanie armii tureckiej w Kurdystanie, nieoszczędzające cywilów; te, które zorganizowało Państwo Islamskie, to dalekie pokłosie awanturniczej bliskowschodniej polityki Erdoğan. Wreszcie co najmniej dwa ataki, przypisane szerzej nieznanym Sokołom Wolności Kurdystanu, równie dobrze mogły być zwykłymi tureckimi prowokacjami. Wiele mówi fakt, że nawet Amerykanie, chętnie wyrażający poparcie dla „antyterrorystycznych” inicjatyw Erdoğan, w tych akurat przypadkach wstrzymali się ze słowami potępienia pod adresem Kurdów. Zwyciężyła jednak propaganda, a rządowe represje wobec dziennikarzy, w tym zamykanie całych opozycyjnych pism, skutecznie przekonały do tego, by nie kwestionować oficjalnego stanowiska wobec „terrorystów”.

Punkt czwarty, czyli zamiana rządu oraz Partii Sprawiedliwości i Rozwoju w absolutnie posłuszne narzędzie w rękach prezydenta też właśnie się dokonał. 4 maja 2016 r. na wyraźne życzenie Erdoğan premier Ahmet Davutoğlu został zmuszony do rezygnacji zarówno z kierowania rządem, jak i z przewodniczenia partii. Aby zasłużyć na upokarzające wyrzucenie ze stanowiska, nie musiał krytykować prezydenta ani nawet próbować budować własnego zaplecza, by z czasem zyskać bardziej niezależną pozycję. Davutoğlu przeprowadził negocjacje z UE dokładnie pod dyktando prezydenta, wspólnie z nim atakował Kurdów i uzasadniał potrzebę wdrażania kolejnych „antyterrorystycznych” regulacji. Przy okazji stał się jednak zbyt rozpoznawalny, a na dodatek zbyt mało gorliwie czyścił partię z osób sceptycznych wobec ostatnich posunięć prezydenta. Co gorsza, miał nawet czasem własne pomysły. Według Cengiza Çandara,

analityka portalu Al-Monitor, to on opracował wiele – zwykle nieudanych – koncepcji w sprawach zagranicznych. Między innymi to premier miał gorąco zachęcać Erdoğan'a nie tylko do inwestowania w antyasadowskie partyzantki o fundamentalistycznym profilu, ale i do masowego przyjmowania syryjskich uchodźców. Nad Bosforem miało wyrosnąć całe pokolenie Syryjczyków wykształconych w Turcji, znających miejscowy język, powiązanych więziami koleżeńskimi i rodzinnymi z Ankarą. Tym sposobem powojenna Syria miała nie tylko być osłabiona, rządzona przez partię muzułmańską à la AKP, ale i naturalnie proturecka. Oczywiście wizje Davutoğlu nie stały w sprzeczności z pomysłami samego Erdoğan'a, którego megalomania jest na Bliskim Wschodzie powszechnie znana. Stanowiły raczej ich twórcze rozwinięcie. Jednak sam fakt myślenia i wychodzenia z inicjatywą budził zaniepokojenie tureckiego autokraty. Świadczy o tym fakt, że następcą Davutoğlu w kancelarii premiera został dziś osobnik kompletnie bezbarwny – Benali Yıldırım, dotychczasowy minister transportu. Prezydent i nowy premier znają się od lat, Yıldırım był zaufanym Erdoğan'a już wtedy, gdy ten wygrywał wybory na mera Stambułu w 1994 r. Zaufania nigdy nie zawiódł, nigdy też nie pokazał, że ma jakieś ambicje osobiste – zadowalała go rola wykonawcy poleceń przywódcy AKP o reputacji skutecznego technokraty (jest współautorem tureckiego systemu kolei dużych prędkości) i pobożnego muzułmanina (podobnie jak prezydent, uczęszczał do szkół religijnych).

Został zatem jeszcze tylko punkt ostatni – sfinalizowanie frontalnej rozprawy z opozycją. Wszystko wskazuje na to, że zostanie przeprowadzony z tą samą żelazną konsekwencją, co poprzednie. Nikt nie ujmuje się za mordowanymi Kurdami, tym bardziej nikt nie ujmie się za Kurdami i ich obrońcami w tureckim parlamencie. Liderzy HDP w ostatnim, desperackim geście napisał on przed głosowaniem w sprawie immunitetów list otwarty do Parlamentu Europejskiego, pisząc, że właśnie kasowana jest jedna z najważniejszych gwarancji zawartych w tureckiej konstytucji. Odpowiedź z Europy była bardziej niż

cyniczna – kanclerz Niemiec Angela Merkel, która wybiera się zresztą z wizytą do Ankary, oznajmiła, że jej kraj „bardzo niepokoją niektóre zjawiska w Turcji”, w tym właśnie sprawa immunitetów i zerwany turecko-kurdyjski proces pokojowy. Zasadniczo jednak nie ma się czym martwić – Turcja, według Merkel, „solidnie realizuje” założenia porozumienia w sprawie uchodźców i nie należy się z niego wycofywać.

Jeśli turecki prezydent ma jakiegokolwiek poważnego przeciwnika, to nie wśród opozycji – podzielonej i niezdecydowanej, i nie w jakimkolwiek podmiocie zagranicznym. Jedynym czynnikiem, który może zepsuć mu wielki finał marszu po władzę, jest gospodarka. Propagandą o skutecznej wojnie z terrorem można karmić obywateli Turcji, lecz nie zagranicznych turystów – szacuje się, że pod wrażeniem informacji o zamachach na wczasy do Turcji przyjedzie co najmniej 4,5 mln gości mniej. Masowo tak popularne jeszcze rok temu wycieczki do kurortów tureckich odwołują rosyjskie biura podróży. To nie wszystko: dymisja Davutoğlu wywołała na giełdzie w Ankarze ośmioprocentowy spadek, doszło do osłabienia liry tureckiej względem dolara. Mniej jest zagranicznych inwestorów, którym nie podoba się klimat politycznej niestabilności. Od 2011 r. bezrobocie w Turcji wzrosło do poziomu 10,3 proc. Ale i tutaj Erdoğan nie traci animuszu. Europie, gdy wyraziła delikatne zastrzeżenia w kwestii antyterrorystycznych praw ułatwiających aresztowania dziennikarzy i aktywistów powiedział, że Turcja będzie szła swoją drogą. Tym, którzy wieszczą gospodarcze załamanie, zarzuca, że kryzysu dopatrują się na siłę. Będąc dyktatorem oficjalnie uznawanym przez Europę, może sobie na to pozwolić.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu